

Urodziłem się 27 lipca 1908 roku w Warszawie. W 1927 r. ukończyłem gimnazjum. Na jesieni 1923 r. zostałem przyjęty na kurs unitarny Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Maz. - Komorowie, a następnie do Szkoły Podchorążych Inżynierii w Warszawie, którą ukończyłem 15.8.1932r. Tego dnia zostałem promowany jako ppor. służby stałej sap., ze starszeństwem 15.8.1931 r. Po promocji zostałem przydzielony do 3 b.sap. w Wilnie, gdzie do 1935 r. byłem kolejno d-cą plutonu i d-cą kompanii. W 1935 r. zostałem przeniesiony do Ośrodka Sapersko - Pionierskiego 29 DP /d-ca gen. Kleeberg/. W 1938 r. zdałem egzaminy do W.S.Wojen. na rocznik 1939/1940.

W 1939 r. otrzymałem przydział mobilizacyjny na stanowisko d-cy 2 kompanii 29 b.sap. /Grodno/ w składzie 29 DP. W ramach koncentracji batalion został przesunięty do rejonu Łodzi, wchodząc w skład Armii Odwodowej gen. Dąb-Biernackiego.

Wybuch wojny zastał nas w rejonie koncentracji. Początkowo jako dowódca 2 komp., w następstwie zaistniałej sytuacji byłem zmuszony podporządkować sobie 1 kompanię 29 b.sap. i jako d-ca niepełnego batalionu, kłuząc wśród Niemców, przeprowadziłem go marszami przeważnie nocnymi z rejonu Piotrkowa przez rejon Radomia ku Pilicy i dalej ku Wiśle, przez którą przeprowiłem się 11 września na wysokości Wilgi.

W rejonie Chełma spotkałem d-cę 41 DP /gen.Piekarski/, któremu swój oddział podporządkowałem. 41 DP wchodziła w skład Armii gen. Przedźymirskiego. W ramach 41 DP oddział walczył do 27 września. 27.9.1939 r. otrzymałem rozkaz przerwania walki i wycofania batalionu w rejon Biłgoraja /Kukiełki/, gdzie dowiedziałem się, od gen. Piekarskiego o kapitulacji.

Decydowałem się nie iść do niewoli. Z por. rez. Konstantym Hallerem z mojej kompanii przedostaliśmy się pomiędzy posterunkami niemieckimi i udaliśmy się pieszo w kierunku Warszawy. Zabrałem ze sobą 2 pistolety, lornetkę i dokumenty poległych.

Fragment naszej wędrówki. Idziemy drogą, z daleka widzimy nadjeżdżającą kolumnę niemiecką. Obok drogi na kartoflisku pracują trzy kobiety. Pytają: "Panowie mają broń?". Odpowiadam: "Tak". "Dajcie". Broń i lornetkę wrzuciły do koszy na kartofle i powiedziały: "Spotkamy się za wsią pod figurą" i poszły polem. Wspaniałe, odważne polskie kobiety.

Dotarliśmy po defiladzie Hitlera w Warszawie w dniu 6 października. Przebiegaliśmy na Pradze i następnego dnia dotarłem do domu rodziców. Stojąc szybko dostałem kontakt na organizację wojskową i dokumenty na swoje nazwisko. Decyduje się iść na Zachód. Jak jednak powiedzieć o tym Matce? Ale pewnego dnia Matka sama nieoczekiwanie a szczęśliwie...

nie nawiązała ~~xxxxxxx~~ do tematu mówiąc: "Wojna dla ciebie jeszcze się nie skończyła". Więc buch Matkę w rękę i po dwu tygodniach, gdzieś między 5 a 10 października poszedłem z dwoma kolegami. 3 listopada przekroczyliśmy z perypetiami granicę Węgier. Wieziono nas do jakiegoś obozu, ale na jednej ze stacji "urwaliśmy się" i ekspressem pojechaliśmy do Budapesztu. Stąd zostałem wyekspediowany z dokumentem 18-letniego chłopca pociągiem przez Włochy. Do Francji przybyłem 21 listopada.

Do 24 grudnia przebywałem w stacji zbornej w Caserne de Bessiers w Paryżu, a następnie zostałem przydzielony jako d-ca kompanii szkolnej w Centrum Wyszkożenia Saperów w St. Genes koło Angers. Pod koniec kampanii francuskiej 1940 r. zostaliśmy ewakuowani w kierunku Biarritz. Przybyliśmy tam 21 czerwca. Tu zwolniłem żołnierzy pochodzących z Francji. Resztę chciałem poprowadzić na Pireneje. Ostatecznie jednak powieziono nas kutrami morzem i w nocy na dużej fali przycumowaliśmy do jakiegoś statku. Po wejściu na pokład okazało się, że był to m/s "Batory". Na czas podróży wyznaczono mnie na d-cę obrony p-łot. statku. Lądowaliśmy w Plymouth. Obozy przejściowe, po czym ostatecznie przewieziono nas do Szkocji w rejon Edinbrough /Aberdeen - Dundee/. Zostałem powołany na stanowisko adiutanta d-cy batalionu. W tym czasie wykonywaliśmy wzmocnienia wybrzeża, w międzyczasie odbyłem stage w jednostkach brytyjskich. Następnie powołano mnie do W.S.Wojen. w Londynie, w której studiowałem od 21.10. 1940 r. do 6.9.1941 r. Po ukończeniu W.S.Wojen., w okresie od 7.9. do 15.12.1941 r. byłem przydzielony do Oddziału III Sztabu Naczelnego Wodza.

W okresie od 16.12.1941 r. do 8.4.1942 r. ukończyłem szkolenie dla cichociemnych.

Dzień 8 kwietnia 1942 r. powitał nas piękną pogodą. Po obiedzie zakomunikowano decyzję startu naszej ekipy. Jest nas sześciu. Ja i ^{dwaj} ~~dwa~~ kolegi po W.S.Wojen. i ^{dwóch} ~~trzech~~ przeszkolonych do dalekiego sabotażu. Jestem dowódcą zespołu. Otrzymałem metalową puszkę z numerowym hasłem niezbędnym do jej otworzenia. W puszcze poczta do KG AK w Polsce. Każdy z nas ma ciężki pas wyładowany złotymi dolarami. Informują mnie, że w samolocie są cztery kontajnery z bronią, które zostaną zrzucone razem z nami /ostatecznie kontajnerów nie zrzucono, o czym nie wiedzieliśmy/. Miejsce lądowania - rejon Łowicza. Podają hasło rozpoznawcze. Uzbrojenie osobiste bardzo słabe, bo otrzymujemy tylko po 2 pistolety. Prócz tego paczka skondensowanego wyżywienia i pastylka "na wszelki wypadek". Każdy z nas ma ułożoną uprzednio legendę i lewe dokumenty.

Wszystko idzie sprawnie. Każą siadać do "latającej trumny" - Halifaxa. Za chwilę jesteśmy w powietrzu. Podobno pilot jest Polakiem, reszta złogi angielska. Idziemy w górę, zakładamy maski tlenowe. Lot przebiega sprawnie i spokojnie. Zbliżyła się godzina 0,50. Komenda "Action station". Ja

nam skakać pierwszy. Widzę w otworze podłogi samolotu kilka światełek ustawionych w strzałę. Szczęśliwie czekają. Komenda "Go" i już wiszę na spadochronie. Jest godzina 1 minut 7. Wylądowałem na podmokłej łące. Jedno uderzenie w klamrę i jestem bez spadochronu. Chwytam ręką grudkę ziemi, całuję ją i już trzymam odbezpieczony rewolwer. Idą. "Stój, kto idzie!". Cisza. "Stój, kto idzie!". Cisza. Co robić? Ciemne sylwetki zbliżają się do mnie i słyszę: "Proszę pana, czy pan z Anglii?".

Rzucamy się w ramiona. Znowu wśród swoich. Chłopcy wiejscy z emocji zapomnieli hasła, potracili zupełnie głowy. Proszą, błagają, żeby im pokazać pistolet. Podbiega komendant placówki. Miły, energiczny nauczyciel wiejski. Brak delegata Centrali.

Zaczyna się porządek. Trzeba się śpieszyć, bo jesteśmy blisko Łowicza. Widać oświetlony obóz jeniecki, który był punktem orientacyjnym dla pilota. Widzimy jak szosą jeżdżą samochody i motocykle. Biegniemy z komendantem placówki żeby zebrać kolegów. Ciemno, nic nie widać. Ładuję się po szyję w rów melioracyjny, pełen wody. Są wszyscy. Dwóch wisiało na drzewach, ale dali sobie radę. Idziemy około 1,5 godziny do wsi. Ciężko się idzie po tej rozmokłej glebie, ale tak radośnie i szczęśliwie, że znowu w domu.

Po paru kilometrach forsownego marszu zamajaczyły kontury wioski. Zaszczekał pies, opłotki i jesteśmy w polskiej chałupie. Ciepło, naftowa lampa. Gospodarze, rodzice nauczyciela ubrani, gotowi na nasze przyjęcie. Na piecu leży żona nauczyciela, która jest w ciąży i ze wzruszenia dostaje bólow.

Witamy się, rzucając się sobie w ramiona. Starą chłopkę całujemy w rękę, widząc w niej Matkę Polkę, tak jak przez wieki. Żadnego zamieszania, żadnych zbędnych pytań, każdy z domowników robi swoje, tak jakby to powtarzał już wielokroć, a to przecież pierwszy ich zrzut, na który czekali bezskutecznie tyle nieprzespanych nocy.

Zjadamy jajecznicę z wędzoną słoniną i z polskim razowcem. Myjemy się. Wkrótce świt, a trzeba zdążyć na pierwszy pociąg, t.zw. "mleczarski". Już idziemy na stację. W pojedynkę udajemy miejscowych. Na stacyjie oprócz nas kilka kobiet z bańkami, jeden starszy rolnik i dwóch żandarmów. Jest już zupełnie jasno, nadjeżdża spóźniony pociąg. Jedziemy bez dokumentów, bo nauczyciel odebrał nasze londyńskie, jako nie tylko złe, ale od razu sypiące. W Łowiczu zamieszanie. Ktoś kogoś bije, żandarmi wrzeszczą, ktoś płacze. W końcu dojeżdżamy do Warszawy.

Wychodzę na tak dobrze mi znany Dworzec Główny. Staranem się być pierwszy przy wyjściu, aby sprawdzić czy wszyscy cichociemni dojechali szczęśliwie. Stoję koło żandarma. Tak, idą po kolei wmieszani w tłum.

Mamy adresy, każdy po dwa. Obydwa moje na Mokotowie. Pierwszy "nie zagrał". Na drugim odpowiedziano hasłem. Jestem na Puławskiej w ć...

"wedla", na parterze w pięknym pokoju. Ranek. Koło godziny dziesiątej dzwonek. Do pokoju wchodzi pani średniego wzrostu około 35 lat. Jak się później okazało "Ciotka Antosia" - Michalina Wieszeniewska. Wita tak jak byśmy się dawno znali i wczoraj widzieli, bierze mnie pod rękę, wyprowadza na ulicę i coś roześmianym głosem opowiada, stwarzając sytuację, że to nie pierwszy mój kontakt z miastem opanowanym przez wroga, że jestem jego starym mieszkańcem. Skierowaliśmy się na ulicę Widok 7 m. 7 do mieszkania pp. Niny i Karola Kwiecińskich, gdzie przeszedłem aklimatyzację w niezapomnianej przyjacielskiej atmosferze. W tym czasie spotkałem się z Matką i Siostrą Stanisławą. Resztę rodziny widziałem z daleka. Podczas pobytu w Warszawie na odprawie u szefa Oddziału III Sztabu KG AK - płk. dypl. "Tatara" dostałem na własną prośbę przydział do Okręgu AK Wilno /"Miód", "Wiano"/.

15.6.1942 r. wyjechałem pociągiem do Wilna. 28.6.1942 r. objąłem stanowisko szefa Oddziału III Sztabu Okręgu AK Wilno, a potem mniej więcej po roku, jednocześnie stanowisko z-cy szefa Sztabu Okręgu. W 1942 r. zostałem awansowany do stopnia kapitana.

Jeszcze kiedy wyjeżdżałem z Warszawy, miałem rozmowę z płk. "Tatarem", który dał mi wytyczne do planu "Burza" Okręgu. Po objęciu stanowiska por sprawami organizacyjnymi jak: łączność, oddziały dywersyjne, organizacja sabotażu, produkcja i rozprowadzanie map, instrukcje wojskowe, przystąpiłem do mojego zadania głównego: opracowania planu "Burza" Okręgu Wilno.

Z opracowanym planem "Burza" przyjechałem do Warszawy jako Ukrainiec z Todt Organisation, fachowiec od budowy lotnisk, jadący do Berlina.

Wróciłem do Wilna w końcu kwietnia 1943 r. Kom. Okręgu "Wilk" wyznaczył mi spotkanie w swoim lokalu kontaktowym. Idąc zorientowałem się, że jest trochę za wcześnie, wstąpiłem więc do kościoła, a wychodząc wileńska bardzo miła ~~xxxxxxx~~ staruszczyzna namówiła mnie na kupno 2 pęczków rzodkiewek. Uprzednio byłem na rozpoznaniu torów kolejowych. Mam w teczce książkę litewską, w której zamelinowałem odpowiednie dokumenty oraz opaskę Bahnschutza. A więc z tym co w kieszeni - 2 pary różnych lewych dokumentów. Wchodzę w końcu na melinę i orientuję się, że jestem obstawiony przez G-po i Saugumi. Zatrzymują mnie.

Litwin wpycha mnie do kuchni. Więc szybko, nim zorientuje się, lokuję na półce, gdzie widzę jakieś książki, także i swoją trefną książkę. Drugi komplet lewych dokumentów zaczynam ukradkiem gryźć i zjadać, by nie wpadła łączniczka, która ma dojście na dokumenty. Pilnują mnie nieważnie. Trochę wsadzam za zlew. Potem krzyczę, że chce mi się jeść. Kobieta z pokoju obok przychodzi, podaje mi bułkę, następnie zabiera się do zrobienia herbaty. Resztki papierów wrzucam pod kuchnię. Kiedy zapali ogień, spłoną. Wpada do środka Niemiec, wyprowadza mnie na zewnątrz, zawraca

po coś na chwilę. Decyduję się błyskawicznie. Litwina, który siedział na werandzie przed domem walę teczką z rzodkiewkami w mordę i uciekam. Jestem już w furtce koło ulicy, zatraskuję furtkę ale tak nieszczęśliwie, że przewracam się, podnoszę, strata czasu. Litwin jest już przy furtce. Uciekam. Litwin pędzi za mną i pokrzykuje "Halt !", ale nie strzela. Kiedy w końcu strzeli ? Biegniemy tak blisko kilometr, dobiegamy do Wilii. Czuję, że jestem tak zmęczony, że nie przepłynę rzeki w ubraniu. Skręcam więc wzdłuż brzegu. Pędzę dalej. Litwin nareszcie zaczął strzelać, ale niecelnie. Odwracam się i widzę, że Litwin stoi pod parkanem i trzyma się za serce.

Zmęczony maczynam iść, odwracam się, tamten też tylko idzie. Obaj nie mamy sił. Jest zmrok. Po chwili siły wróciły i zacząłem biec. Litwin już nie strzelał, a ja się już nie obejrzałem.

Wpadam wreszcie do jakiejś suteryny. W pierwszym pomieszczeniu jest dziewczyna, w drugim kobieta tylko w koszuli. Zaczyna krzyczeć: "Pan nas naraża", wypycha mnie siłą, każe dziewczynie iść po policję. Usiłuję ją zastraszyć przykładając dwa palce do piersi. Udało się - mięknie. Teraz już skomli tylko "Nie zabijaj. Uciekaj". Pokazuje gdzie iść. Pędzę więc, trafiam do jakiejś podwórkowej budki - dawnej ubikacji. Przysięgam sobie że nie dam się wziąć żywym. Łapię jakiś ciężki kamień, przytykam drzwi i trzymając oburącz kamień lokuję się wyżej. Kamień waży, zaczyna brakować sił w tej akrobatycznej pozycji.

Słyszę obok głosy: mężczyzna i kobieta. Jedno z nich wchodzi do ubikacji obok. Rozmawiają przez drzwi, że kogoś szukają, że teren obstawiony i tu i tam. Zaczynam orientować się w sytuacji. Jestem blisko więzienia. Odpoczywam. Za pół godziny idzie trzech strażników, przechodzą.

Ciemną nocą wylazłem, zdjąłem buty, jasne części ubrania wysmarowałem błotem na czarno i wdrapałem się na mur. Niemcy chodzą, więzienie blisko. Zsuwam się z muru i pełnę wzdłuż niego aż do oświetlonej wyłki. Stoi wartownik i patrzy. Widzi, czy nie ? Nie zobaczył. Przeprowadziłem się przez ulicę, płot, pogroziłem pięścią i przez ogrody z perypetiami dotarłem do mieszkania siostry "Krystyny" /mojej łączniczki/.

Zmieniłem charakterystykę, ostrzygli mnie na zero i wyrzucili na tydzień za Wilno. Potem wróciłem do pracy. W jesieni jechałem razem z komendantem "Wilkiem" po raz drugi do Warszawy, do KG AK. Tym razem na węglarce.

W kwietniu 1944 r. nastąpiła reorganizacja w dowodzeniu siłami Okręgu. Został wyodrębniony sztab zwartych oddziałów polowych. Od kwietnia 1944 r. objąłem stanowisko szefa Sztabu Oddziałów Polowych Okręgu Wilno, a od powrotu "Wilka" z odprawy w Warszawie w czerwcu 1944 r., stanowisko szefa Sztabu Oddziałów Polowych Okręgów Wilno i Nowogródek.

- 5 -

Przyjechał więc z Warszawy "Wilk" i oświadczył, że do akcji "Burza" wchodzi uderzenie na Wilno jako zadanie główne mimo, że tego w poprzednim planie "Burzy" nie przewidywano. Sztab nie był jeszcze całkowicie zorganizowany, nie było czasu i warunków do przeprowadzenia jakiejś akcji z oddziałami w celu sprawdzenia funkcjonowania sztabu. Chodziło tu głównie o sprawdzenie łączności, a zatem operatywnego rozkazodawstwa. Teraz w sztabie nastąpiło skoncentrowanie wszystkich wysiłków na operacji uderzenia na Wilno. Położenie własne oddziałów i stany uzbrojenia były dość dokładnie znane. Natomiast dane o nplu były niewystarczające, szczególnie ze względu na częste zmiany ruchów oddziałów niemieckich oraz na brak sprawnej łączności z Wilnem. Łączność opierała się na gońcach, a więc była bardzo powolna i niepewna. Łączności radiowej z Wilnem i z oddziałami nie było, natomiast "Wilk" miał łączność radiową przez Londyn z Warszawą, realizowaną przez jedną radiostację.

Główne zadanie jakie postawił sobie "Wilk" było: uderzenie i opanowanie Wilna w momencie przewidywanego chaosu w oddziałach niemieckich ale tak, aby zadanie wykonać tuż przed nadejściem oddziałów sowieckich. Oczywiście, podyktowane to było względami politycznymi, bo przecież walka na tych terenach od 1939 r. miała za cel główny wyzwolenie tych ziem. W tych warunkach biorąc pod uwagę, że informacje o położeniu na froncie sowiecko - niemieckim dochodziły tylko na podstawie komunikatów z nasłuchu rozgłośni EBC, wybranie terminu uderzenia na Wilno było bardzo trudne. Rozkaz operacyjny nakazujący uderzenie oddziałom w nocy 7/8 lipca 1944 r. został wydany kilka dni wcześniej z takim wyliczeniem, że przy obecnym stanie łączności oraz położeniu oddziałów, powinny one zdążyć do zajęcia podstaw wyjściowych do uderzenia w wyznaczonym czasie rozkazem.

"Wilkowi" zostały przyporządkowane oddziały polowe Okręgów Wilno i Nowogródek z przeznaczeniem do operacji wileńskiej. Na dowódcę uderzenia na Wilno został wyznaczony przez "Wilka" przybyły razem z nim z Warszawy nowy k-nt Podokręgu Nowogródzkiego - ppłk. dypl. Adam Szydłowski ps. "Poleszok". Niezależnie od tego, zgodnie z nominacją KG zachowywał on stanowisko k-nta Podokręgu Nowogródek.

Ponieważ sytuacja na froncie wschodnim zmieniała się błyskawicznie na korzyść oddziałów sowieckich, powstała konieczność przyspieszenia uderzenia na Wilno o jeden dzień wcześniej, to znaczy z 6/7 lipca. Decyzja ta choć z punktu wojskowego ~~była~~ nieprawidłowa, była jednak ~~ważna~~ ze względu na osiągnięcie celu głównego konieczna. W związku z tym nie wszystkie oddziały zdążyły na czas osiągnąć podstawy wyjściowe w nakazanym nowym terminie.

Uderzenie zostało przeprowadzone jednak zgodnie z rozkazem w przyspieszonym terminie. Okazało się, że uderzenie napotkało na zdecydowany opór niemiecki, ponieważ Oberkommando der Wehrmacht postanowiło bronić Wilna

/zginąć ale bronić/ nawet w oblężeniu. Ściągnięte do Wilna w ostatniej chwili oddziały niemieckie wsparte od świtu silnym lotnictwem i artylerią, utrzymały pozycje obronne i tylko części sił AK udało się opanować między innymi południowo - wschodnie części miasta. Silny ogień artylerii i lotnictwa oraz broni bezpośredniej czyniły duże ~~xxkxkx~~ straty w nacierających oddziałach i w związku z tym komendant "Wilk" dał rozkaz do wycofania oddziałów, ponoszących największe straty. Natomiast oddziały wysunięte jak całe zgrupowanie mjr dypl. "Węgielnego", brygada "Szczęca" i inne były się razem z wysuniętymi oddziałami armii sowieckiej, które w parę godzin po rozpoczęciu natarcia przez AK znalazły się na wysokości ugrupowań oddziałów AK na przedpolach Wilna i rozpoczęły walkę o zdobycie miasta. Miasto zostało zdobyte przez oddziały sowieckie i AK 13 lipca.

Mimo, że "Poleszuk" był wyznaczony na d-cę uderzenia, to uderzeniem dowodził "Wilk". "Poleszuk" był zajęty ściąganiem oddziałów swojego podokręgu na podstawy wyjściowe i wobec tego nie zdążył wrócić do sztabu, aby dowodzić uderzeniem zarządzonym na dzień wcześniej.

Podczas operacji wileńskiej moje m.p. było w linii na wysuniętym punkcie dowodzenia.

Komendant "Wilk" nawiązał natychmiast, jeszcze w czasie operacji wileńskiej, łączność z dowódcami sowieckimi i następnie, na spotkaniu z reprezentantami d-cy 3 Frontu Białoruskiego gen. Czerniachowskiego, zaproponował oddanie oddziałów partyzanckich obu okręgów do walki z Niemcami pod dowództwem operacyjnym sowieckim zastrzegając, że w dalszym ciągu podlega Rządowi R.P. w Londynie. Przedstawiciele d-cy frontu nie od razu, ale wreszcie zgodzili się na to, że ~~xxix~~ z sił obu okręgów zostaną zorganizowane dwie dywizje piechoty i oddziały wsparcia. Tworząc samodzielny korpus, właższe sowieckie miały zapewnić uzbrojenie i niezbędną sprzęt. W ślad za ustaleniami komendant polecił mi przygotować OdB /operat organizacyjny/ i w związku z tym cały sztab przystąpił do wykonania tego zadania.

Komendant "Wilk" był jeszcze raz zaproszony na spotkanie z przedstawicielami jak poprzednio i w ogólnych zarysach przedstawił plan organizacyjny dwu dywizji. Na tym spotkaniu ustalono, że odbędzie się spotkanie komendanta "Wilka" /"Generała Wilka"/ z d-cą frontu gen. Czerniachowskim, na którym nastąpi podpisanie porozumienia /dogaworu/.

W dniu 17.7.1944 r. w godzinach przedpołudniowych ~~przejechał~~ ^{przyleciał} do sztabu polowego pułkownik rosyjski, który pełnił funkcję oficera łącznikowego pomiędzy sztabem 3 Frontu Białoruskiego a komendą AK i zakomunikował, że d-ca frontu czeka na spotkanie w Wilnie.

Pojechaliśmy własnym samochodem, do którego wsiedli "Gen. Wilk"

ja, mając w ręce OdB korpusu składającego się z dwu dywizji piechoty i oddziałów korpusnych. Z przodu usiadł radziecki oficer łącznikowy, który wcześniej bardzo nalegał by jechał również k-nt Łódokręgu Nowogródek "Poleszuk". "Poleszuka" jednakże nie było w tym czasie w m.p. k-nta "Wilka".

Oficer łącznikowy naglił z wyjazdem tłumacząc, że d-ca frontu jest bardzo zajęty i czeka na naszą wizytę. "Gen. Wilk" chciał zabrać przyboczny szwadron kawalerii, na co oficer łącznikowy oświadczył, że jego zdaniem nie należy zabierać ze sobą asysty, ponieważ z jednej strony opóźni to przyjazd, a z drugiej - wizyta u d-cy frontu w otoczeniu ubrojonego oddziału może być zrozumiana niewłaściwie. Ostatecznie pojechaliśmy więc bez eskorty.

Jadąc samochodem "Gen. Wilk" rozmawiał ze mną półgłosem wyrażając swoje wątpliwości, czy istotnie Czerniachowski potwierdzi omówione wcześniej ustalenia i podpisze porozumienie /dogawor/, które w skrócie zawierało następujące punkty: 1/ organizowany korpus nadal podlega władzom Rzeczypospolitej, a więc rządowi polskiemu w Londynie, 2/ pod względem operacyjnym korpus podlega d-ctwu sowieckiemu, 3/ strona sowiecka zapewni całkowite uzbrojenie i wyposażenie jednej dywizji, a w miarę czasu będą organizowane następne dywizje i oddziały korpusne.

Niestety, w tej złożonej sytuacji nie mogłem generałowi odpowiedzieć konkretnie jak należy postąpić. Widocznie, wewnątrz miałem wątpliwości co do lojalnego zachowania się strony radzieckiej, gdyż już w samochodzie odpiąłem kaburę.

Przy podjeździe pod willę sztabu /patrz zdjęcie/, żołnierze ubezpieczenia kwatery sprezentowali broń, a na schody wyszedł nam na spotkanie generał - lejtnant, który wprowadził nas do gabinetu generała armii I.D. Czerniachowskiego.

W dużym salonie przerobionym na biuro zastaliśmy za biurkiem gen. Czerniachowskiego, a obok stojących czterech generałów. Po przywitaniu się i po paru słowach wprowadzających "Gen. Wilka" skierowanych do gen. Czerniachowskiego, "Gen. Wilk" polecił mi przedłożyć OdB Korpusu i udzielić ewentualnych wyjaśnień. Zauważyłem, że gen. Czerniachowski, który cały czas milczał, nie zainteresował się przedłożonym OdB, natomiast po chwili wstał i oświadczył, że :"nikakowa dogawora nie budiet, ja was razorużiwaju". Mimo tak wysokiego szczebla i tak stosunkowo niewielkiej sprawy, jak rozbrojenie dwu oficerów AK, zauważyłem na twarzy Czerniachowskiego zdenerwowanie. Na to "Gen. Wilk" wstał i doniosłym głosem oznajmił: "W imieniu Rzeczypospolitej Polski protestuję". Ja natomiast sięgnąłem ręką do kabury. Z całą pewnością sytuacja była wyreżyserowana przez stronę rosyjską, bo natychmiast po skończeniu słów gen. Czerniachowskiego, wpadło do pokoju 15 do 18 oficerów NKWD, wszyscy w tym samym stopniu kapitana, którzy rzucili się na mnie, wrywając mi broń; zdzierając pas, mapnik i

i t.d. "Sen. Wilka" odprowadzono do sąsiedniego pokoju. Mnie natomiast wyprowadzono do pokoju, jak sądzę wartowników, ponieważ za szafą na podłodze było trochę słomy. Wewnątrz pokoju przy drzwiach stanął wartownik.

Orientowałem się, że okna wychodzące z tego pokoju /wysoki parter/ są po stronie byłego kasyna oficerów 6 pp leg, a więc w dzielnicy małych domków i ogrodów, co w przypadku szczęśliwej ucieczki dawałoby możliwość wydostania się z zasięgu ubezpieczeń willi. Wiedząc o tym, że uprzednio została nakazana odprawa wszystkich dowódców Zgrupowań i Brygad w celu przeglądu przez władze sowieckie /o który uprzednio prosili/, uważałem za konieczne wydostać się za wszelką cenę, dotrzeć do oddziałów i powiadomić o zdradzie.

Podczas rewizji, przez nieuwagę nie zabrano mi zapalek. Chodząc po pokoju zamierzałem podpalić słomę i w tej złożonej sytuacji, wydostać się przez okno z willi. Próbowałem dwu podpaleń. Pierwsza próba nie powiodła się. Drugą próbę zauważył nietety przedwcześnie wartownik. Słoma już zaczęła tlić się, wartownik zauważył to, podniósł alarm, do pokoju wpadł drugi "bojec", zdeptali razem niski płomień i odebrali mi zapaliki.

Pod wieczór tegoż dnia wyprowadzono mnie przed willę, gdzie zastałem przywiezionego z terenu "Poleszuka". Kazano nam wsiąść do łazika, następnie bezceremonialnie poprzewracano, eskorta usiadła na nas i pędem ruszono ulicami Kościuszki i Mickiewicza do więzienia na Ofiarnej /dawny budynek Sądu Wojewódzkiego/.

W celi od tej pory siedziałem razem z "Poleszukiem". Stąd wywoływano nas na kolejne śledztwa w sprawie udziału w AK. Po pewnym czasie dołączyli do nas inni koledzy z Okręgu Wileńskiego, między innymi: mjr dypl. łączn. Mieczysław Potocki ps "Węgielny", mjr kaw. "Konar", kpt. "Rańcza", kpt. Jan Kopka ps "Grabowiecki", kpt. Ludwik Fortuna ps "Siła" i inni.

W styczniu 46 roku po przewiezieniu nas na kilka dni do więzienia na Łukiszkach w Wilnie, wywieziono nas via Moskwa do obozu Ostaszkowo.

Wiosną 46 roku kazano nam obsadzić straż pożarną obozu. K-ntem straży był mjr "Węgielny", a członkami m.inn. "Poleszuk" i ja. W nocy 23/24. 6.1946 roku nie wstępując nikogo w nasz plan, przecinając druty ucieczki z obozu wraz z ppłk. "Poleszukiem", por. rez. Grajewskim i gospodarzem wiejskim szeregowcem Granackim z Suwalszczyzny. Po trzytygodniowej drodze w kierunku Polski "wpadliśmy" już pod Polockiem i tak znaleźliśmy się napowrót w Ostaszkowie.

Około 15.7.1946 r. doprowadzono nas o świcie do obozu. Przed wejściem komendant obozu polecił przeprowadzenie rewizji. Ponieważ odbierano wszelkie przedmioty o charakterze osobistym medalik, który dostałem w niezapamiętanych okolicznościach w 1931 r., schowałem w ustach pieniądze polskie

... i szereg. W podwiole poranna sierbant, gdy karał otworzył mi usta widocznie coś dojrzał, bo za chwilę wrzasnął "po szire job twoju mat" i nie czekając uderzył mnie w twarz. Dwa zęby z krwią wyleciały na ziemię, sierbant splunął, powiedział krótko "chwacit" i w ten sposób rewizja skończyła się, a niedługo jeszcze raz uratowałem. Po rewizji osadzono mnie z "Poleszukiem" na 21 dni w karcerze, natomiast ppor. Grajewskiego i szer. Granackiego zwolniono do obozu.

Po odsiedzeniu kary skierowano nas do baraku ogólnego, ale już nie do straży pożarnej. Przed świętem Rew. Październikowej w obozie jak zwykle prowadzone były rewizje. Podobna odbyła się również w naszym baraku. Koło mojej pryczy żołnierze znaleźli kawałek blachy aluminiowej, która nie wiem skąd się tam wzięła /z blachy aluminiowej zdolniejsi obozowicze wyrabiali cygarniczki i papierosnice, które wymieniali na chleb/. Wartości chwycili kawałek blachy, a mnie zaprowadzili na "zonę" do komendanta obozu, który wśród wrzasków polecił osadzić mnie na 21 dni karceru za rzekome przygotowywanie nowej ucieczki z obozu.

Ponieważ była jesień, przez strop ziemny przeciekała woda, a przez małe nieoszkłone okienko wiał chłód, całą noc nie spałem. W tych warunkach nie było mowy o zaśnięciu. Zrozumiałem, że nie wytrzymam 21 dni głodu i przeraźliwego chłodu, muszę zachorować i w ten sposób zgodnie z prawem nastąpi stwierdzenie zgonu i sprawa zostanie zamknięta. Postanowiłem głodować i nie przyjmować wszelkiego pożywienia prócz wody.

Na drugi czy trzeci dzień przyszedł do karceru wojskowy lekarz obozowy, który zaczął mnie przekonywać, że głodówka nic nie da bo i tak zginę, ponieważ nikt na to nie zareaguje. Gdy wszelkie argumenty lejtnanta spotykały się z moim kategorycznym "nie", ku mojemu zdziwieniu oficer sowiecki zaczął mnie prosić, żebym go nie gubił ponieważ on także ma wyrok, który odsiadać pełniąc służbę lekarza obozowego pod warunkiem jednak, że obowiązki swoje będzie spełniał wzorowo. Dalsze głodowanie moje spowoduje odesłanie go do więzienia, a przecież ma żonę i dzieci. Te argumenty nie mogły mnie przekonać, ponieważ musiałem ratować w pierwszej kolejności swoje życie. Następnego dnia gdy znowu nie przyjąłem pożywienia, wieczorem "bojcy" zaprowadzili mnie do szpitaliku obozowego, gdzie lekarz przeprowadził sztuczne karmienie. Po tym zabiegu poczułem się znacznie lepiej i nawet spałem. Na następny dzień powtórzyli zabieg z tym jednak, że gdy wróciłem do karceru, dostałem silnej gorączki. Samopoczucie ogólne było fatalne tak dalece, że byłem przekonany, że jest to ostatni dzień mojego życia. Nieustające deszcze sprawiły, że podłoga w karcerze pływała, a przez strop lała się strużkami woda. Leżałem. Sytuację ratował wartownik - żołnierz sowiecki, który ustawiał na mnie skorupy, a następnie wylewał z nich wodę. Prosty człowiek, a wykazał tyle ludzkich cech, mimo to że robił tego

nie było wolno. Rano poczułem się znacznie lepiej. Widocznie było to zatrucie.

I znowu przyszli "bojcy", żeby odprowadzić mnie na karmienie. Lecz ja kategorycznie odmówiłem pójścia bojąc się zabiegu, który tak źle poskutkował. Po krótkiej szamotaninie "bojcy" dali spokój. Mieli jednakże rozkaz i musieli go wykonać. Przyprowadzili więc dwu Niemców, obozowiczów, którzy próbowali siłą zaprowadzić mnie do szpitala. Jeszcze raz znalazłem się w łapach Niemców. Nie wiem skąd miałem jeszcze tyle siły, ale jednego tak silnie pchnąłem, że przewrócił się, a drugiego uderzyłem w mordę, aż odskoczył. Niemcy stanęli bezradnie. "Bojcy" widząc nieskuteczność interwencji oddalili się z Niemcami i po paru minutach przyszli tylko z jednym Niemcem, wielkim, silnie zbudowanym, dobrze odżywionym szefem kuchni obozowej. Ten nie patyczkując się ze mną, chwycił żelaznymi łapami, a ja zrozumiałem, że dalszy zdecydowany opór jest bezskuteczny. I szamocząc się, pozwoliłem prowadzić się do szpitala.

Gdy wprowadzono mnie do sali zabiegowej, gdzie byli już lekarz obozowy i sanitariuszem zauważyłem, że wszystkie szafki są opróżnione z narzędzi chirurgicznych. Na stole operacyjnym było tylko przygotowane uprzednio naczynie z pożywieniem. Kazali mi teraz wypróżnić się także w tym pomieszczeniu. Wykonując tę czynność zauważyłem, że na taborecie obok, pozostawiony widocznie przez nieuwagę, leży duży nóż kuchenny. Zdecydowałem wykorzystać nóż do zaprotestowania przeciwko osadzaniu mnie w karczerze oraz przeciwko sztucznemu karmieniu. W pewnej chwili więc chwyciłem za nóż i włożyłem go do kieszeni zatrzymując tam rękę, a robiłem to tak, aby wszyscy zauważyli ten ruch. Skutek był natychmiastowy. Lekarz i sanitariusz jednym skokiem znaleźli się za stołem, natomiast Niemiec, który mnie prowadził, przesał "Messer". Nie wiedzieli, że ja w żadnym wypadku nie mogłem użyć noża, ponieważ nawet drobne skaleczenie przeciwników byłoby policzone jak przestępstwo, a w konsekwencji wyrok więzienia. Niemiec spuścił łeb, wyciągnął łapy i pomazu zbliżał się. Jasne, że za chwilę przewrócił mnie i walił moją głową o dechy. Jednocześnie próbował wyrwać mi rękę z kieszeni, ale tak niefortunnie ciągnął, że myślałem, iż wyrwie mi rękę ze stawu. Wreszcie nóż wyrwał, a zdenerwowany do ostateczności lekarz kazał mnie odprowadzić do karcera. Aż dziw, że tej nocy spałem chyba najlepiej. Na drugi dzień znowu odmówiłem przyjęcia pożywienia. Po południu przyszło dwu ubranych "bojców", którzy zakomunikowali, że mają rozkaz odwiedzić mnie do szpitala w Ostaszewie, ponieważ jestem "samszedzijski". Wzięli mnie pod rękę i prowadzili drogą do czekającej około 200 m. dwukółki naprzęzionej w koniki. Mimo że było to zakazane, nasza grupa NK-owców tęgnęła mnie przez cały. Zaskoczony byłem, że mijając szpital polowy, zaobserwowałem około 15-20

... wycieczki w otoczeniu i salutujących. Wartyści, jak i
trafili, zgoryli się w protestach. Sąd przywieźli mnie do szpitala. Wy-
kali i położyli do łóżka. Cudem się jak w niebie. Za chwilę przysłała sio-
stra /Rosjanka/ i przyniosła mi talerz mlecznej zupy. Myślałem, że osza-
leję, ale jeść przecież nie mogłem, ponieważ uznałem za konieczne podtrzy-
mywanie "wspaniałej" diagnozy - "sumasszedziej". Rozlewając wciskane
mi do ust pożywienie i wykrzykując "nie nada", "nie chaczu", ciągle za-
stanawiałem się czy już można rzucić się na żarcie, czy jeszcze za chwilę.
Siostra nie zważając na to, obsypywała mnie czułymi słówkami, głaskała
i namawiała mnie ciągle, abym choć parę łyżek pozwolił podać sobie. Wre-
szcie uległem i tych kilka łyżek przełknąłem. Siostronia przymilając się
w dalszym ciągu, zostawiła talerz, namawiając mnie do zjedzenia. Jak tył
poszła, rzuciłem się jak wilk na pierwszy od kilku dni posiłek. Podano mi
jeszcze kolację i na następny dzień obiad, a następnie postawiono daga
diagnozę: "on duraka walajet". Trzeba stwierdzić, że tym razem była to
diagnoza prawidłowa. Zaczęły się zupy z buraków, brukwi i kapusty. Mniej
więcej po 10 dniach odesłano mnie do obozu, ale o dziwo, nie do karceru.
Zatrzymali mnie w pokoju przy wartowni gdzie było widno, ciepło, wyżywie-
nie obozowe, ale dzięki życzliwemu stosunkowi wartowników, obfitsze.

Mniej więcej po dwa tygodniach wywieźli mnie przez Ostaszków do wię-
zienia w Kalininie. Oficer śledczy zażądał ode mnie podpisu zbiorczego po
wszystkimi dotychczasowymi protokołami śledztwa. Wraziłem na to zgodę z
zastrzeżeniem, że przed tym chcę widzieć się z prokuratorem. Istotnie, co
było się takie spotkanie. Prokuratorowi oświadczyłem, że protokołu nie po-
piszę, ponieważ w poszczególnych protokołach jest dużo nieścisłości i kłó-
stw. I niech nie szuka mojego podpisu jako podstawy do wyroku. Jak chce
nie rozwalić, to po co szukać pretekstu w podpisie, który ma stwierdzić
moją winę. Wywiązała się awantura, w zakończeniu której pułkownik pchnął
mnie w kierunku drzwi ze słowami "won ty taki a taki", uzupełniając swoje
zdenerwowanie kopniakiem w wiadomą część ciała.

Wróciłem do celi. W nocy po rewizji przenieśli mnie do celi, w której
znajdowało się około 70 więźniów. Zrozumiałem, że jest to cela wyspikowa.
co istotnie okazało się prawdą. Po 2 - 3 dniach znalazłem się w obozie
w Ostaszkowie. Skąd wrócić odesłano mnie z powrotem do obozu. Na
początku kwietnia 1947 r. całą grupę NK-owców przetransportowano do
oboju koncentracyjnego w Morszańską /około 370 km. na pół-wsch. od Moskwy.
Jesienią 1947 r. cały obóz NK-owski został wywieziony do Polski. Jedyni
mnie i mjr kaw. Franciszka Kopyrowskiego ps "Konar", również skoczka spado-
chronowego, zatrzymano w obozie. W czerwcu 1948 r. pod eskortą sierżanta
zostałem skierowany do Polski i przez Brześć, następnie Białą Podlaską w
dniu 27 lipca znalazłem się w Warszawie.